



Od razu na początku warto zaznaczyć, że monodram był nagrywany dla potrzeb kwalifikacji festiwalowych na różnych przeglądach, gdzie spektakl ma szansę zaistnieć z pewnością. Jedno jest pewne, że osobiście byłem świadkiem czegoś wielkiego w naszym małym Krotoszynie. Zaczniemy jednak od początku.

Początek spektaklu osadzony w realiach współczesnych trendów teatralnych charakterystycznych dla małych ośrodków. Dominuje minimalizm scenograficzny. Białe płótno na scenie i kłujące w oczy, dyndające jabłko. W tle słychać tylko delikatne i niepokojące dźwięki muzyki, którą na żywo wygrywał na gitarze Jarosław Reising.

Przy zapalonych światłach reżyser wypuszcza z garderoby małpę. Tak proszę państwa – małpę, a właściwie kobietę-małpę, co można stwierdzić po płci aktorki, w którą wcieliła się fenomenalna Julia Szczesnowska. Małpa zachowuje się jak oswojony szympan. Zresztą taki był chyba zamysł reżyserski, bo gdyby aktorka miała odegrać rolę np. goryla to trup ścieliłby się gęsto. Oswojony szympan jednak obwąchał tylko terytorium i ludzi znajdujących się na widowni zaznaczając jednocześnie, że będziemy mieli już od początku styczność z interakcją aktor-widz, a to dopiero początek.

Małpa zmienia się w kobietę, która rozpoczyna swoją podróż w dojrzałość... Seksualną? Artystyczną? Ludzką? Te wszystkie elementy narastały wraz ze zmianą odgrywanych w założeniu ról, na które składały się fragmenty poetyckie, prozatorskie i teatralne takich twórców jak: Adam Mickiewicz, Henryk Sienkiewicz, Dorota Masłowska czy Witold Gombrowicz, a nawet sam Bóg. Bowiem to od Niego rozpoczyna się groteskowa podróż kobiety, która raz jest biblijną Ewą, raz Zosią, a innym razem Albertynką czy Basią. W każdej roli odnajduje się bardzo dobrze bowiem to jej rówieśniczki. Nie musi zatem udawać kogoś kim tak naprawdę nie chciałaby być. Mamy więc do czynienia z prawdziwą radością, prawdziwym płaczem, krzykiem, miłością i nienawiścią. Mamy do czynienia z dojrzewającą kobietą z krwi i kości, która próbuje odnaleźć siebie w nas samych. Próbuje to robić zachęcając widzów do uczestnictwa w swojej grze.

Scena-plansza jest bowiem przygotowana zawsze dla dwóch graczy. Widzowie wciąż są prowokowani do odpowiedniej interakcji i dają się wciągać w tę grę, co świadczy tylko o profesjonalizmie całości przedsięwzięcia. Monodram „7 kroków do...” nie szokuje scenografią. Nie ma tutaj efektów specjalnych. Jest to, co w teatrze być powinno. Dopracowana do

mistrzostwa reżyseria słowa i aktorskiej gry, która na długo pozostanie w pamięci.



